

# Zew Cthulhu

## (The Call Of Cthulhu)

by H. P. Lovecraft

Tłumaczenie: Ryszarda Grzybowska

*Nie jest wykluczone, że sa pozostalosci tych wielkich  
sil i istot... pozostalosci bardzo odleglego okresu,  
kiedy... świadomość wyrażała się, być może, w  
kształtach i formach dawno już zanikłych, jeszcze przed  
zalewem rozwijającej się ludzkości... formach,  
o których tylko poezja i legenda zachowały przelotne  
wspomnienie, zwąc je bogami, potworami, mitycznymi  
istotami wszelkiego gatunku i rodzaju...*

*Algernon Blackwood*

### **I. Horror w glinie**

Wydaje mi się, że największym dobrodziejstwem na tym świecie jest fakt, że umysł ludzki nie jest w stanie skorelować całej swej istoty. Żyjemy na spokojnej wyspie ignorancji pośród czarnych mórz nieskończoności i wcale nie jest powiedziane, że w swej podróży zawędrujemy daleko. Nauki - a każda z nich dąży we własnym kierunku - nie wyrządziły nam jak dotąd większej szkody; jednakże pewnego dnia, gdy połączymy rozproszoną wiedzę, otworzą się przed nami tak przerażające perspektywy rzeczywistości, a równocześnie naszej strasznej sytuacji, że albo oszalejemy z powodu tego odkrycia, albo uciekniemy od tego śmiertelnie niebezpiecznego światła przenosząc się w spokój i bezpieczeństwo nowego mrocznego wieku.

Teozofowie w swoich domniemaniach wskazują na niesamowity ogrom kosmicznego cyklu, w którym nasz świat i rasa ludzka to tylko wydarzenia przejściowe. Napomykają o dziwnych pozostałościach stosując określenia, które zmroziły by krew w żyłach, gdyby nie zamaskowano ich łagodnym optymizmem. Ale to nie teozofowie przyczynili się do mego przelotnego zetknięcia się z zakazanymi eonami, które przeszywają mnie dreszczem, gdy o nich myślę, i przyprowadzają niemal o szalenstwo, gdy o nich snię. Zetknięcie się z nimi, tak jak i z wszystkimi przejawami straszliwej prawdy, nastąpiło w momencie przypadkowego łączenia całkiem różnych rzeczy - wiadomości z gazety i notatek zmarłego profesora. Mam nadzieję, że już nikt więcej nie będzie się tym zajmował; jedno jest pewne, że jeśli będę żył, nigdy świadomie nie dostarczę ogniwa do tego strasznego łańcucha. Myślę, że profesor także zamierzał zachować milczenie odnośnie tej części, która była mu znana, i że zniszczyłby swoje notatki, gdyby nie zabrała go nagle śmierć.

Moja znajomość tej sprawy datuje się od przelomu 1926 i 1927 roku, a konkretnie od śmierci wujecznego dziadka, George'a Gammela Angella, emerytowanego profesora języków semickich w Brown University, Providence, Rhode Island. Profesor Angell był powszechnie cenionym autorytetem w dziedzinie starożytnych zapisów i często zasięgali jego opinii dyrektorzy najslawniejszych muzeów; tak więc jego odejście w wieku czterdziestu dwóch lat

upamiętniło się wielu znakomitym osobom. Jednakże tajemnicze okoliczności jego śmierci wzbudziły szerokie zainteresowanie wśród miejscowej ludności. Profesor zmarł wracając z Newport; nagle się przewrócił, jak powiadają świadkowie, potracony przez Murzyna, wyglądającego na marynarza, który wylonil się z jednego z tych dziwnych mrocznych zaułków na stromym zboczu wzgórza, przez które wiodła krótsza droga do domu zmarłego profesora na Williams Street. Lekarze nie znaleźli żadnych obrazów, a po burzliwej naradzie doszli do wniosku, że przyczyną śmierci były dziwne zmiany patologiczne w sercu, spowodowane szybkim wejściem starszego człowieka na wzgórze. Wtedy nie widziałem powodu, by mieć odmienne zdanie, z czasem jednak zrodziła się we mnie wątpliwość, a nawet coś więcej niż wątpliwość.

Jako spadkobierca i egzekutor mojego wujecznego dziadka - był bowiem bezdzietnym wdowcem - miałem obowiązek przejrzeć dokładnie wszystkie jego dokumenty. W tym celu przewiozłem cały komplet jego akt i skrzyneczek do mego domu w Bostonie. Duża część materiału, który połączyłem w jedną całość, zostanie później opublikowana przez Amerykańskie Stowarzyszenie Archeologiczne, oprócz zawartości jednej skrzyneczki, która wydała mi się niezwykle zagadkowa i której nie miałem ochoty ujawniać przed innymi. Była zamknięta i nie mogłem znaleźć kluczyka, aż wpadłem na pomysł, by obejrzeć dokładnie pierścien, który profesor nosił zawsze w kieszeni. Udało mi się ją otworzyć, ale wtedy stanąłem przed jeszcze większą i jeszcze trudniejszą do pokonania przeszkodą. Bo i cóż miała znaczyć dziwna płaskorzeźba w glinie, bezładne zapiski i jakies wycinki? Czyżby mój wuj na starość stał się wyznawcą najbardziej wyrafinowanej szarlatanerii? Postanowiłem odszukać ekscentrycznego rzeźbiarza, który był odpowiedzialny za to oczywiste zakłócenie spokoju umysłowego starego człowieka.

Płaskorzeźba była nierównym prostokątem o wymiarach pięć na sześć cali, a grubości około jednego cala; niewątpliwie nowoczesnie zaprojektowana, została jednak wykonana w sposób daleki od nowoczesnej techniki i koncepcji. Bo choć różniczne i szalencze są fantazje futuryzmu i kubizmu, nieczęsto odtwarzają one tajemniczą regularność, jaka się kryje w prehistorycznych zapisach. A z pewnością ta rzeźba kryła w sobie jakies zapisy; jednakże moja pamięć, chociaż posiadałem wnikliwą znajomość dokumentów i zbiorów mego wuja, zawodziła mnie i w żaden sposób nie mogłem zidentyfikować tego szczególnego przypadku ani nawet domyślać się jego odległej przynależności.

Oprócz zupełnie oczywistych hieroglifów, była tam też figura niewątpliwie obrazkowa w zamierzeniu, choć jej impresjonistyczne wykonanie uniemożliwiało odczytanie jakiegokolwiek koncepcji. Zdawała się być jakimś potworem albo symbolem przedstawiającym potwora, o kształcie, który tylko schorząca wyobraźnia mogła wymyślić. Jeżeli powiem, że moja cokolwiek ekstrawagancka wyobraźnia podsuwała mi jednocześnie obrazy osmiornicy, smoka i karykatury człowieka, nie będę niewierny duchowi tej płaskorzeźby. Głęboka, zakończona mackami głowa wienczyła groteskowa i pokryta łuskami figurka ze szczatkami skrzydeł, ale najbardziej szokujący i przerażający był jej ogólny zarys. Tło tej figurki przypominało cyklopową architekturę.

Pismo towarzyszące tej osobliwości, poza stosami wycinków gazetowych, wyszło spod ręki profesora Angella i to w ostatnich czasach, nie miało ambicji stylu literackiego. Zasadniczy dokument nosił nagłówek "KULT CTHULHU", starannie wypisany drukowanymi literami, żeby uniknąć błędnego odczytania niespotykanego słowa. Manuskrypt został podzielony na dwa działy, z których pierwszy był zatytułowany "1925 - Sen i rozprawa na temat snu H. A. Wilcoxa, Thomas St. 7 Providence, R.I.", a drugi "Opowieść inspektora Johna R. Legrasse, Bienville St. 121, Nowy Orlean, La., w 1908 roku A. A. S. Mtg. - Notatki na temat Same i prof. Webba

sprawozdanie". Jedne rękopisy były krótkie i pobieżne, inne zawierały opowiesci dziwnych snów różnych osób, jeszcze inne znów cytaty z teozoficznych ksiąg i czasopism (zwłaszcza z Atlantis i Lost Lemuria), a pozostałe zawierały komentarze na temat długotrwałych sekretnych stowarzyszeń i tajemnych kultów, z odniesieniem do fragmentów mitologicznych i antropologicznych ksiąg źródłowych, takich jak "Złota galaz" Frazera oraz "Kult wiedz w Zachodniej Europie" Miss Murray. Wycinki odnosiły się głównie do outr, schorzeń umysłowych i objawów szalenstwa lub manii przesładowczych z okresu wiosny 1925.

Pierwsza część głównego manuskryptu zawierała szczególnie niezwykła opowieść. Okazuje się, że 1 marca 1925 roku szczupły, ciemnowłosy młodzieniec o neurotycznych cechach, ogromnie podniecony, złożył profesorowi Angellowi wizytę przynosząc z sobą osobliwa płaskorzeźbę w glinie, która wtedy była jeszcze mokra, świeżo wykonana. Okazał wizytówkę z nadrukiem Henry Anthony Wilcox i wuj rozpoznał w nim najmłodszego syna znanej mu szacownej rodziny, studiującego rzeźbę w Szkole Modelarskiej w Rhode Island, a mieszkającego samotnie w budynku Fleur-de-Lys w pobliżu uczelni. Wilcox był młodzieńcem niezwykle, uważanym za geniusza, ale trochę ekscentrycznym i od dzieciństwa zwracał na siebie uwagę opowiadaniem dziwnych historii i dość osobliwych snów. Sam określał siebie jako "psychicznie nadwrażliwego", ale stateczni mieszkańcy starego handlowego miasta powiadali, że jest po prostu "dziwny". Nigdy nie włączał się w życie otoczenia, aż w końcu stopniowo przestano go w ogóle dostrzegać i znany był tylko nielicznej grupie estetyków z innych miast. Nawet Klub Artystyczny w Providence, usiłujący za wszelką cenę zachować swój konserwatyzm, uznał go za przypadek całkiem beznadziejny.

Z okazji tej wizyty, jak podawał manuskrypt profesora, rzeźbiarz zwrócił się z bezceremonialną prośbą do gospodarza, jako znawcy archeologii, o zidentyfikowanie hieroglifów na płaskorzeźbie. Mówił w jakiś senny, sztuczny sposób, w którym czuło się pozie i odpychająca układność; mój wuj odpowiadając zareagował dość ostro, bo wyraźna świeżość rzeźby mogła świadczyć o pokrewieństwie ze wszystkim, tylko nie z archeologią. Odpowiedź młodego Wilcoxa, która wywarła takie wrażenie na wuju, że zapamiętał ją i zapisał dosłownie, była wprost fantastyczna i poetycka, co zapewne cechowało też całą z nim rozmowę, a co ja uznałem za wielce dla niego charakterystyczne. Powiedział: *"Bo rzeczywiście jest nowa, jako że wykonałem ją wczoraj w nocy snąc o dziwnych miastach, a sny są starsze niż zadumany Tyr, pogrążony w kontemplacji Sfinks czy opasany ogrodami Babilonu"*.

I wtedy to rozpoczął tę zawiłą opowieść, która nagle zbudziła uspioną pamięć i gorączkowe zainteresowanie wuja. Ubiegłej nocy miało miejsce lekkie trzesienie ziemi, najbardziej odczuwalne w Nowej Anglii na przestrzeni kilku lat, co żywo pobudziło wyobraźnię Wilcoxa. Odpoczywając zapadł w przedziwny sen o wielkich miastach Cyklopów zbudowanych z bloków Tytana i sięgających nieba monolitów, które ociekały zielonym szlamem i ziały grozą tajemniczego horroru. Wszystkie ściany i kolumny pokryte były hieroglifami, a z jakiegoś nieokreślonego miejsca na dole dobywał się głos, który nie był głosem; chaotyczne doznanie, które tylko fantazja mogła przetworzyć w dźwięk, a które on usiłował przekazać za pomocą prawie nie do wymówienia galimatiasu liter: "Cthulhu fhtagn".

Ten werbalny galimatias stał się kluczem do wspomnienia fascynującego i niepokojącego dla profesora Angella. Wypytał rzeźbiarza o wszystko z naukową dokładnością i w wielkim skupieniu przyjrzał się płaskorzeźbie, którą Wilcox wykonał podczas snu, zziębnięty, tylko w piżamie, i nad którą obudził się w kompletnym oszłomieniu. Wuj składał wino na swój wiek - Wilcox potem zeznał - za to, że tak powoli rozpoznał zarówno hieroglify, jak i obrazkowy wzór. Wiele jego pytań wydało się gościowi zupełnie bez związku, zwłaszcza te, w których usiłował

powiazac wzór z kultami albo spolecznosciami; Wilcox nie mógł tez zrozumiec coraz to powtarzajacych sie obietnic milczenia, jakie mu skladal profesor w zamian za przyjecie na czlonka jakiegos rozpowszechnionego mistycznego czy poganskiego stowarzyszenia religijnego. Kiedy profesor Angell przekonal sie, ze rzezbierz naprawde nie ma pojecia o kultach ani systemach tajemnej wiedzy, zwrócił sie do niego z prosba, aby zdawal mu relacje ze wszystkich swych snów. To zaowocowalo, bo w manuskrypcie sa opisy codziennych wizyt mlodego czlowieka, podczas których snul zdumiewajace opowiesci o swoich nocnych wizjach. Dominowal w nich straszny widok ciemnych, ociekajacych szlamem kamieni, oraz podziemny glos albo jakas informacja przekazywana monotonnie w sposób zagadkowy i pozbawiony sensu, dajacy sie okreslic tylko jako belkot. Dwa dzwieki powtarzane najczesciej mozna oddac za pomoca tych liter: "Cthulhu" i "R'lyeh".

23 marca, jak bylo dalej w manuskrypcie, Wilcox sie nie zjawil; po przeprowadzeniu wywiadu w miejscu zamieszkania okazalo sie, ze zapadl na jakas dziwna goraczke i rodzina zabrala go do domu na Waterman Street. Krzyczal przez cala noc, budzac wszystkich w tym budynku, na przemian to tracac swiadomosc, to popadajac w delirium. Wuj natychmiast zatelefonowal do rodziny i bacznie od tej pory obserwowal ten przypadek; odwiedzal tez czesto doktora Tobeya na Thayer Street, który opiekowal sie pacjentem. Rozgoraczkowany umysl Wilcoxa krazyl wokół jakichs dziwnych spraw, a doktor mówiac o tym az sie wzdrygal. Byly wiec opowiesci o jego dawnych snach, ale i o jakiejś przedziwnej wielkiej rzeczy na "milowych wysokosciach", która tam chodzi albo sie snuje dookola. Nigdy nie okreslil wyraznie tego obiektu, ale szalone slowa, jakie wypowiadal od czasu do czasu, powtórzone przez doktora Tobeya, przekonaly profesora, ze jest on identyczny jak owo nieokreslone monstrum, które chcial odtworzyc w rzezbie podczas snu. Wzmianki o tym obiekcie, wedle doktora, byly zawsze wstepem do letargu, w jaki popadal mlody czlowiek. Dziwna rzecz, ale jego temperatura niewiele przekraczala granice normy, natomiast stan ogólny swiadczył raczej o autentycznej goraczce niz o jakimkolwiek zakłóceniu umyslowym.

2 kwietnia, okolo trzeciej po poludniu, ustapily wszelkie symptomy choroby Wilcoxa. Usiadl prosto na łózku, zdziwil sie swoja obecnościa w domu, nieswiadom zupełnie tego, co zdarzylo sie we snie czy na jawie od 22 marca. Lekarz orzekl, ze stan jego zdrowia jest juz dobry i Wilcox wrócił po trzech dniach do swojego mieszkania; ale tez i przestal byc pomocny profesorowi Angellowi. Wraz z powrotem do zdrowia zniknely wszelkie slady dziwnych snów i mój wuj przestal prowadzic notatki z jego nocnych wizji po tygodniu bezcelowych i nie zwiazanych z tematem sprawozdan z najzupelniej normalnych snów.

Tu sie konczyla pierwsza czesc manuskryptu, lecz wzmianki odnoszace sie do pewnych rozproszonych zapisków dostarczyly mi duzo materialu do myslenia - w gruncie rzeczy tak duzo, ze tylko wrodzony sceptycyzm, ksztaltujacy wtedy moja filozofie, moze byc odpowiedzialny za ciagla nieufnosc w stosunku do artysty. Wspomniane notatki byly opisem snów rozmaitych osób z tego samego okresu, w którym mlody Wilcox skladal tak dziwne wizyty. Mój wuj, wydaje sie, szybko rozwinal ogromny, na szeroka skale zakrojony wywiad posród niemal wszystkich przyjaciół, do których mógł bez posadzenia o zuchwalstwo zwrócić sie z prosba o relacje z ich snów z podaniem daty co ciekawszych sennych wizji z przeszlosci. Na prosbe te reagowano w różny sposób, jednakze spotkal sie ze znacznie wiekszym odzewem niz kazdy przecietny czlowiek posiadajacy do pomocy sekretarke. Korespondencja w wersji oryginalnej nie zachowala sie, ale jego notatki byly dokladnym i naprawde wiele znaczacym sprawozdaniem. Relacje przecietnych ludzi ze sfer towarzyskich i biznesu - stanowiacych tradycyjna "sól ziemi" Nowej Anglii - okazaly sie prawie zupelnym fiaskiem, jednak pojedyncze przypadki niespokojnych, acz

nie sprecyzowanych impresji nocnych pojawiaja sie tu i ówdzie, zawsze miedzy 23 marca a 2 kwietnia - w okresie delirium mlodego Wilcoxa. Naukowcy byli troche pod ich wiekszym wplywem, choc dosc niejasny opis czterech przypadków nasuwa przelotne obrazy dziwnych krajobrazów, a jeden wspomina o leku przed czymys wykraczajacym poza przyjete granice wyobrazni.

To od artystów i poetów nadeszly owe trafne odpowiedzi i jestem przekonany, ze rozpetalaby sie panika, gdyby byli w stanie porównac zanotowane uwagi. W tej jednak sytuacji, z powodu braku oryginalnych listów, uznałem, ze kompilator musial zadawac wiodace pytania albo tez sam zredagowal listy bedace swiadcetwem tego, co skrycie postanowil zobaczyc. Dlatego tez wciaz czulem, ze Wilcox w pewnym stopniu swiadom wszystkich danych bedacych od dawna w posiadaniu mego wuja, okpiwal starego naukowca. Odpowiedzi estetów stanowily bulwersujaca opowiesc. Miedzy 28 lutego a 2 kwietnia ogromna wiekszosc z nich snila o dziwnych rzeczach, a nasilenie tych snów znacznie narastalo w okresie delirium rzeźbiarza. Ponad jedna czwarta spśród tych, którzy cokolwiek donosili, opisywala sceny i dzwieki niewiele odbiegajace od tych, które podawal Wilcox, a poniektórzy zwiierzali sie z przesywajacego ich leku przed ogromna i jakas nieslychana rzecz widziana pod koniec snu. Jeden przypadek, szczególnie podkreslany w tym opisie, byl bardzo smutny. Jego obiekt, powszechnie znany architekt sklaniajacy sie ku teozofii i okultyzmowi, ulegl gwałtownemu napadowi szalenstwa w okresie delirium Wilcoxa i po kilku miesiacach wyzional ducha wolajac bez ustanku, aby go ocalono przed jakimis zbiegłym z piekiel stworem. Gdyby wuj opatrywyl owe przypadki imieniem, zamiast poslugiwac sie tylko cyfra, podjalbym osobiscie badania w celu potwierdzenia ich wiarygodnosci; w tej jednakze sytuacji udalo mi sie natrafic na slad ledwie kilku przypadków. Ale te byly dokladnie opisane. Czesto zastanawialem sie, czy wszystkie osoby, które profesor wypytywal, byly równie zaskoczone, jak te tu opisane. Dobrze sie sklada, ze zadne wyjasnienie do nich nie dotrze.

Wycinki prasowe, jak juz wspomnialem, wskazywaly na przypadki paniki, obledu i ekscentrycznosci w danym okresie. Profesor Angell zatrudnil chyba cale biuro wycinków prasowych, bo liczba notatek byla wprost niesamowita, a źródla rozproszone po calej kuli ziemskiej. Tu oto bylo samobójstwo noca w Londynie, czlowiek spiacy samotnie, krzyknawszy przerazliwie, wyskoczyl przez okno. Inny wycinek cytowal zaskakujacy list do wydawcy gazety w Poludniowej Ameryce, w którym jakis fanatyk przepowiada straszna przyszlosc na podstawie makabrycznej wizji sennej. Przeslane wycinki z Kalifornii opisuja kolonie teozofów odzianych en masse w biale szaty, dla jakiegos chwalebneho spelnienia zyczen, które nigdy sie nie ziszcza, podczas gdy wycinki z Indii mówia niejasno o niepokoju tamtejszych mieszkanców, jaki zauwazono pod koniec marca. Na Haiti nasilaja sie orgie czarnoksieźników, zas afrykanska forpoczta donosi o zlowieszczych rozruchach. Amerykanscy inspektorzy na Filipinach stwierdzaja, ze pewne plemiona sprawiaja im kłopoty w tym czasie, a noca z 22 na 23 marca nowojorska policje atakuja rozhisteryzowani Lewantynczyce. W zachodniej czesci Irlandii wystepuja zamieszki i kraza różne legendy, natomiast pelen fantazji malarz, Ardois-Bonnot, wystawia bluznierczy obraz "Pejzaz ze snu" na paryskim wiosennym wernisazu 1926 roku. A tak liczne kłopoty zanotowano w zakladach dla psychicznie chorych, ze chyba tylko cudem lekarska korporacja nie dostrzegla dziwnego paralelizmu i nie wyciagnela mistycznych wniosków. Ogromny stos wycinków; a ja w tym czasie prawie nie dostrzegalem swego zimnego racjonalizmu, z jakim odkladalem je na bok. Byłem jednak wtedy przekonany, ze Wilcox znaj juz wczesniej sprawy, o jakich wspomina profesor.

## **II. Opowiesc inspektora Legrasse**

Dawniejsze sprawy, z powodu których sen rzeźbiarza i jego plaskorzeźba stały się kwestią tak wielkiej wagi dla mego wuja, są tematem drugiej części obszernego manuskryptu. Okazuje się, że niegdys profesor Angell ujrzał piekielne zarysy niesamowitego potwora, głowiac się nad jakimiś nieznanymi hieroglifami, i usłyszał złowieszcze sylaby, które można było odtworzyć tylko jako "Cthulhu"; a wszystko w tak pełnym zamętu i strasznym powiązaniu, że trudno się dziwić, iż molestował młodego Wilcoxa pytaniami i domagał się szczegółowych danych.

To wcześniejsze zdarzenie miało miejsce w 1908 roku, siedemnaście lat temu, podczas dorocznego zebrania Stowarzyszenia Amerykańskich Archeologów w St. Louis. Profesor Angell, stosownie do swego autorytetu i osiągnięć naukowych, spełniał czołową rolę we wszystkich rozważaniach, był też jednym z pierwszych, do którego zgłosiło się kilka osób spoza stałego grona, jako do wybitnego przedstawiciela tego zebrania, z prośbą o prawidłową odpowiedź na ich pytania i fachowe rozwiązanie nurtujących ich problemów.

Głównym przedstawicielem grona outsiderów, który zresztą wkrótce stał się centralnym obiektem zainteresowania całego zgromadzenia, był mężczyzna w średnim wieku, o dość pospolitym wyglądzie, który przyjechał aż z Nowego Orleanu, aby zdobyć pewne informacje, raczej szczególnej natury, nieosiągalne w żadnym z lokalnych źródeł. Nazywał się John Raymond Legrasse i był inspektorem policji. Przywiózł ze sobą przedmiot będący celem tej wizyty, groteskowa, budząca odrazę i niewątpliwie bardzo stara kamienna statuetka, której pochodzenia nie był w stanie ustalić.

Trudno przypuszczać, aby inspektor Legrasse interesował się choćby w najmniejszym stopniu archeologia. Wręcz przeciwnie, jego pragnienie, aby wyjaśnić tę zagadkę, miało charakter czysto profesjonalny. Statuetka, bożek, fetysz, cokolwiek to było, została znaleziona kilka miesięcy temu w lasach rosnących na moczarach na południe od Nowego Orleanu podczas oblawy na czarnoksieźników, którzy mieli odbywać tam swoje zgromadzenia; tak niezwykle i tak niesamowite były obrzędy związane z tą statuetką, że policja nie miała wątpliwości, iż natknęła się na jakiś tajemniczy kult, zupełnie nieznaną i o wiele bardziej szatanijską niż wszelkie znane dotąd, najbardziej mroczne kultury czarnoksieźników afrykańskich. O jej pochodzeniu, poza chaotycznymi i wprost niewiarygodnymi opowieściami, jakie z trudem wydobyto od schwytanych członków zgromadzenia, nie dowiedziano się absolutnie niczego; stąd usilne dążenie policji, aby nauka o starożytności pomogła zidentyfikować ten przerażający symbol i przyczynić się do wysledzenia kultu aż po samo jego źródło.

Inspektor Legrasse nie spodziewał się, że statuetka wywoła aż taką sensację. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby wszyscy zebrani tam ludzie nauki popadli w stan euforycznego podniecenia; stłoczyli się wokół niego, by przyjrzeć się malenkiej statuetce, której niepojęta osobliwość i autentyczny powiew najbardziej odległej starożytności otwierały zupełnie nieznaną możliwość. Żadna ze sławnych szkół rzeźbiarskich nie potrafiła rzucić światła na ten niesamowity przedmiot, a jednak na jego zielonkawej powierzchni z nieznanego kamienia były wyryte ślady setek, a nawet tysięcy lat.

Figurka która zaczęła przechodzić z rak do rak dla dokładniejszych oględzin, miała około siedmiu a nawet osmiu cali wysokości i została wykonana w sposób mistrzowski i wysoce artystyczny. Przedstawiała potwora o niewyraźnych antropoidalnych kształtach, głowie osmiornicy i twarzy pełnej macek, tułowiu gąbczastym i pokrytym łuskami, ogromnych szponach na przednich i tylnych łapach i długich, wąskich skrzydłach z tyłu. Zdawała się zionąć przerażającą i jakas nienaturalną złośliwością, była jakby trochę wypukła i korpulentna i osadzona na kwadratowym bloku albo postumencie pokrytym nieczytelnymi znakami. Końce skrzydeł dotykały tylnego brzegu podstawy, podczas gdy długie, zakrzywione szpony

skrzyżowanych i podkurczonych zadnich nóg obejmowały brzeg od przodu i sięgały jedna czwarta długości pod spód podstawy. Głowa wyrastająca jakby z nóg była pochylona do przodu, tak że koniuszki czulek na twarzy ocierały się o wielkie przednie szpony obejmujące podkurczone i uniesione kolana. Statuetka wyglądała jak żywa i tym bardziej budziła lek, że jej pochodzenie było tak całkowicie nieznaną. Nie ulegało wątpliwości, że jej wiek był nieogarniony; nawet w najdrobniejszym szczególe nie wykazywała związku z żadnym rodzajem sztuki przynależnym do młodej cywilizacji - a właściwie do żadnej cywilizacji znanej na tym świecie.

W tej całkowitej odrebności i wyizolowaniu nawet tworzywo, z którego została wykonana, było tajemnicze, ponieważ miękki, zielonoczarny kamień ze złoistymi i opalizującymi cętkami i prążkami nie przypominał żadnego znanego w geologii czy mineralogii kamienia. Znaki na podstawie były równie zaskakujące i nie do odczytania; nikt spośród obecnych, choć zgromadziła się reprezentacja ekspertów w tej dziedzinie z połowy świata, nie potrafił znaleźć choćby najmniejszego podobieństwa do jakichkolwiek znanych im nawet najstarszych języków. Znaki te, podobnie jak sama statuetka i materiał z którego została wykonana, przynależały do jakichś bardzo odległych czasów, nieznanego rodzaju ludzkiemu; sugerowały, napelniając groza, ogromnie dawne i bezbożne życie, w którym nasz świat i nasze wyobrażenia nie mają żadnego udziału.

A jednak, kiedy członkowie tego zgromadzenia potrzaskali głowami jeden po drugim i przyznawali zgodnie, że nie potrafia rozwikłać problemu inspektora, znalazł się ktoś, komu wydawało się, że chyba wie coś nieco o tej przerazającej statuetce i piśmie na postumencie, po czym z pewnym oniesmieleniem opowiedział dziwną historię. Był to William Channing Webb, profesor antropologii w Princeton University, badacz naukowy raczej mało znany.

Profesor Webb został zaangażowany czterdzieści osiem lat temu jako członek wyprawy badawczej do Grenlandii i Islandii w poszukiwaniu pewnych napisów runicznych, których jednak nie udało mu się znaleźć; a daleko na zachodnim brzegu Grenlandii natknął się na niezwykle plemię czy też kult zdegenerowanych Eskimosów, odprawiających dziwne obrzędy ku czci szatana, a już szczególnie zmroziła go ich pełna premedytacji i odrazająca żądza krwi. Była to religia, o której inni Eskimosi raczej mało wiedzieli, a na którą reagowali jedynie wzruszeniem ramion mówiąc, że pochodzi z okresu bardzo dawnych eonów, jeszcze przed stworzeniem świata. Oprócz potwornych obrzędów i ofiar składanych z ludzi odprawiali jakieś niesamowite, odziedziczone po przodkach rytuały, przeznaczone dla nadrzędnego, starszego diabła albo tornasuka; z tych rytuałów profesor Webb sporządził fonetyczny zapis słuchając wiekowego angekoka albo duchownego-czarownika, odtworzywszy te dźwięki za pomocą rzymskich liter w miarę możliwości jak najdokładniej. Teraz jednak największe znaczenie miał bożek, którego w tym kulcie otaczano czciami i wokół którego wykonywano tańce, gdy zorza polarna wznosiła się wysoko nad pokryte lodem urwiska skalne. Była to, jak stwierdził profesor, bardzo prymitywnie wykonana kamienna płaskorzeźba, a na niej szkaradny obraz i jakieś tajemnicze pismo. Zgodnie z tym, co zapamiętał, przypominała w ogólnych zarysach tego właśnie leżącego teraz przed zebranymi potwora.

Powyższe dane, przyjęte przez zebranych z największym zdumieniem i powatpiwaniem, wzbudziły jeszcze większe zainteresowanie inspektora Legrasse; zasypał profesora pytaniami. Mając zanotowany i przepisany tekst rytuału czarowników na moczarach, których jego ludzie aresztowali, zwrócił się z prośbą do profesora, aby przypomniawszy sobie możliwie najdokładniej sylaby, jakie zapisał wśród diabolicznych Eskimosów. Nastąpiły teraz wyczerpujące porównania szczegółów, po czym zapanował moment naprawdę przerazającej ciszy, kiedy zarówno detektyw

jak i naukowiec ustalili identyczna zgodność frazy obu diabelskich rytuałów odległych od siebie o taki szmat świata. To, co w istocie zarówno eskimoscy czarownicy, jak i kapłani na moczarach w Luizjanie śpiewali malenkim bożkom, tak się mniej więcej przedstawiało - poszczególne słowa można było odgadnąć na podstawie przerw ustalonych tradycyjnym zwyczajem w śpiewanej frazie:

*"Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn."*

Legrasse miał w tym względzie przewagę nad profesorem Webbem, ponieważ kilku z jego więźniów przekazało mu znaczenie tej frazy, zgodnie z wyjaśnieniem, jakie otrzymali od starszych celebrantów. Tekst brzmiał mniej więcej tak:

*"W tym domu w R'lyeh czeka w uspieniu zmarły Cthulhu."*

Teraz inspektor Legrasse na usilne nalegania zebranych zaczął opowiadać możliwie najdokładniej swoją przeprawę z czcicielami bożka na moczarach; była to opowieść, do której mój wuj, jak się zdolałem zorientować, przywiązywał szczególną wagę. Graniczyła ona z najdziwniejszymi mrzonkami mitomana i teozofa i ujawniała zadziwiający stopień kosmicznej wyobrazni wśród takich mieszanców krwi i pariasów, po których najmniej można się było tego spodziewać.

1 listopada 1907 roku nowoorleańska policja otrzymała pilne wezwanie na tereny moczarów i lagun, znajdujące się na południu. Tamtejsi osadnicy, w większości prymitywni, ale prostoduszni potomkowie Lafitte'ów, żyli w panicznym leku przed czymś nieznanym, co zakradało się do nich noca. Były to niewątpliwie praktyki czarnoksięskie, ale z takim okropieństwem jeszcze się dotychczas nie spotkali; kilka ich kobiet i kilkoro dzieci zniknęło w momencie, gdy rozległo się złowieszcze bicie bebna w glebi mrocznych, nawiedzonych lasów do których nie zaglądał żaden z okolicznych mieszkanców. Dochodziły stamtąd oszalale krzyki, jęki udreconych i zawrożeń mrozace krew w żyłach, pojawiały się też roztańczone, diabelskie płomienie; zastraszonego posłaniec powiedział, że przekracza to już wytrzymałość miejscowej ludności.

Tak więc grupa dwudziestu policjantów w dwóch wozach i samochodzie wyruszyła późnym popołudniem z roztrzesionym posłancem jako przewodnikiem. Na końcu drogi wysiedli i dalej brnęli pieszo pokonując całe mile w milczeniu wśród przerażających cyprysowych lasów, do których dzień nigdy nie zaglądał. Paskudne korzenie i zwisające złowieszczo petle hiszpańskiego mchu zagrażały im przejście, a co pewien czas zwałisko wilgotnych kamieni albo szczątki zmurzonego muru będące przypomnieniem, jak schorzone jest to miejsce, potęgowały nastrój grozy, która budziło każde zniekształcone drzewo i każda kepa porośla grzybami. W końcu wyłoniło się przed nimi osiedle bezładnie rozproszonych ubogich chat; rozhisteryzowani mieszkańcy wybiegli i zgromadzili się wokół migocących latarek. Gdzieś daleko rozlegało się ledwo słyszalne stłumione bicie w bebny; co pewien czas, wraz z powiewem wiatru, dobiegał scinający krew w żyłach krzyk. Poprzez jasne poszycie, spoza bezkresnych ścieżek lesistej nocy zdawało się przenikac czerwone światło. Mieszkańcy tej osady drżeli na myśl, że muszą sami pozostać, i każdy z nich, zlekniwszy, kategorycznie odmawiał aby zbliżyć się choćby na krok w stronę tego diabelskiego miejsca obrzędów, wobec tego inspektor Legrasse wraz z dziewiętnastoma kolegami zapuścił się bez przewodnika w czarne arkana koszmaru, z jakim jeszcze się w życiu żaden z nich nie zetknął.

Teren, na który wkroczyła policja, miał z dawna ustalona złą reputację, był absolutnie nieznaną, bo nie dotknęła go stopa białego człowieka. Kłamały legendy o tajemniczym jeziorze, którego nie ujrzał jeszcze żaden śmiertelnik, a w którym mieszka ogromny, bezkształtny, biały, polipowaty stwór, o błyszczących ślepiach; tubylcy szeptali, że czarty o skrzydłach nietoperza wylatują z jam w glebi ziemi, aby oddawać mu część o północy. Powiadali, że przebywał tam jeszcze przed



d'Iberville, przed La Sallem, przed Indianami, nawet jeszcze wtedy, kiedy w lasach nie było ani zwierząt, ani ptaków. Była to zmora nocna, a zobaczyc ja - znaczyło umrzeć. Przesładowała jednak ludzi w snach, wiedzieli więc o niej wystarczająco dużo, aby się trzymać z daleka. Orgia czarowników odbywała się teraz na samym brzegu tego odrazającego terenu, co było już wystarczająco okropne; miejsce odprawiania czarów przerazało tubylców bardziej niż wstrzasające odgłosy i same wydarzenia.

Tylko poezja albo obłęd mogły usprawiedliwić wrzaski, jakie docierały do Legrasse'a, kiedy brnęli poprzez czarne grzezawisko w kierunku czerwonego blasku i przytłumionego bicia w bębny. Istnieją odgłosy właściwe ludziom i właściwe zwierzętom; straszne jednak są one wtedy, gdy słyszymy głosy ludzkie, a zdają się je wydawać dzikie bestie. Zwierzeca furia i wyuzdana orgia wzbijały się do demonicznych wyzyn, przecinane wyciem i skrzeczącym wrzaskiem najwyższej ekstazy, która rozdzierała i wibrowała w tym spowitym nocą lasie niczym złowroga burza dobywająca się z piekielnych głębi. Od czasu do czasu słabiej sterowane zawrodozenie cichło i to, co zdawało się być dobrze wycwiczonym chórem ochrypłych głosów, przeradzało się w przyspiewkę, w której rozbrzmiewała ta ohydna fraza czy też rytuał:

*"Ph'nglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagi fhtagn."*

Kiedy dotarli do miejsca, w którym drzewa się przerzedzały, natknęli się na prawdziwe widowisko. Czterech spośród ludzi Legrasse'a cofnęło się, jeden zemdlał, a dwaj pod wpływem doznanego wstrząsu, wydali z siebie przeraźliwy krzyk, który na szczęście zagłuszyła rozszalała kakofonia orgii. Legrasse chlusnął bagnistą wodą w twarz omdlałego policjanta, po czym wszyscy stanęli dygocąc, niemal zahipnotyzowani strasznym widowiskiem.

W naturalnej przesiece, jaka było bagnisko, widniała porośnięta trawą wyspa wielkości około akra, bez drzew i w miarę sucha. Na niej właśnie podskakiwała i wila się horda ludzkich potworów, jeszcze bardziej niesamowita niż na obrazach Sime'a Angaroli. Naga gromada hybrydów ryczała, wyla i spazmatycznie wyginała się wokół ogromnego ognia w kształcie pierścienia; gdy rozchyłała się zasłona dymu, ukazywał się stojący w samym środku ogniska wielki granitowy monolit, wysoki na jakieś osiem stóp; na jego wierzchołku spoczywała absurdalnie mała i dziwnie wyrzeźbiona statuetka. Z szerokiego kregu dziesięciu platform rozstawionych w regularnych odstępach wokół spowitego ogniem monolitu zwisały głowy w dół ciała owych mieszkanców osady, którzy zniknęli. Pośrodku tego właśnie kregu stojący kołem wierni skakali i ryczei, przesuwając się w prawo w bezustannych bachanaliach pomiędzy kregiem ciał i płonącym ogniskiem.

Może zadziała tu wyobraźnia, a może rozbrzmiewające echo, ale jeden z członków wyprawy, Hiszpan, ogromnie podekscytowany, twierdził, że słyszał w dali, w głębi nieobjętego blaskiem ognia lasu starych legend i koszmaru, odzew na odprawiany obrzęd. Z człowiekiem tym, który nazywał się Joseph D. Galvez, spotkałem się i rozmawiałem; okazał się roztargniony i skłonny do bujnej fantazji. W swoich rozważaniach sięgał nawet tak daleko, że wspominał coś o cichym trzepocie wielkich skrzydeł, o błyszczących oczach i ogromnej białej masie przeswitującej spoza odległych drzew - myślałem jednak, że nasłuchiwał się zbyt wielu tubylczych zabobonów.

Chwila przerażającego milczenia, jakie ogarnęło ludzi Legrasse'a, nie trwała jednak długo. Pobudził ich obowiązek; choć w tym tłumie celebrantów było około stu mieszanców krwi, policjanci zaopatrzeni w bron rzucili się bez wahania na to budzące wstret zgromadzenie. Przez pięć minut trwał zgiełk i chaos nie do opisanego. Padły oszalałe ciosy, strzały, tłum rozproszył się na wszystkie strony; w końcu jednak Legrasse zdołał się doliczyć około czterdziestu siedmiu ponurych jenców, którym natychmiast kazał się ubrać i ustawić w szeregu pomiędzy dwoma rzędami policjantów. Pięciu spośród wyznawców tego obrzędu zostało zabitych, dwóch ciężko

rannych ich współtowarzysze odniesli na zaimprovizowanych noszach. Legrasse ostrożnie zdjął z monolitu rzeźbę i zabrał ją ze sobą.

Po bardzo forsownej i nuzającej podróży jency zostali przesłuchani na komendzie i okazało się, że wszyscy są ogromnie prymitywnymi mieszancami krwi i objawiają zaburzenia umysłowe. W większości byli to marynarze, Murzyni i Mulaci, głównie z Indii Zachodnich albo portugalskiej Brava z wysp Cape Verde; wykonywali czarnoksięskie praktyki oddając się heterogenicznemu kultowi. Jednakże już po zadaniu im kilku pytań stało się oczywiste, że zachodzi tu zjawisko o wiele głębsze i starsze niż murzynski fetysyzm. Choć tak zwyrodniali i ignorancy, obstawali ze zdumiewającą konsekwencją przy przewodniej idei swojej szkaradnej wiary.

Czcili, jak sami powiadali, Wielkie Dawne Bóstwa, które żyły przed wiekami, kiedy to jeszcze nie było ludzi, a które przybyły do tego młodego świata prosto z nieba. Teraz już ich tutaj nie ma, są głęboko pod ziemią i pod dnem oceanów; ale ich ciała zwierzyły swoje tajemnice pierwszemu człowiekowi podczas snu i on to właśnie stworzył kult, który nigdy nie zaniknie. To właśnie ich kult, który, jak twierdzili jency, zawsze istniał i zawsze będzie istniał, skrywany na dalekich pustkowiach i w mrocznych zakątkach świata, dopóki wielki Cthulhu nie powstanie ze swego spowitego mrokiem domu w potężnym mieście R'lyeh znajdującym się pod wodą i nie obejmie znowu władzy nad światem. Pewnego dnia, kiedy gwiazdy będą gotowe, rozlegnie się jego wołanie, a tajemniczy kult będzie trwał w oczekiwaniu na jego wyzwolenie.

Do tego czasu nic więcej nie wolno mówić. Jest to tajemnica, której nie zdołają wyjawic żadne tortury. Ludzkość nie jest sama wśród wszystkich rzeczy na ziemi, których jesteśmy świadomi, bowiem z ciemności przybywają cienie i nawiedzają swoich wiernych. Nie są to jednak Wielkie Bóstwa. Człowiek ich jeszcze nie widział. Wyrzeźbione bóstwo to wielki Cthulhu, ale nikt nie potrafiłby powiedzieć, czy tak właśnie owe bóstwa wyglądają. Nikt też nie potrafiłby teraz odczytać starego napisu, ale słowa te zostały kiedyś wypowiedziane. Słowa nucone podczas obrzędu nie są tajemnicą - nigdy jednak nie mówi się ich głośno, tylko szeptem. A znacza:

*"W tym domu w R'lyeh czeka w uspieniu zmarły Cthulhu".*

Tylko dwaj jency okazali się na tyle zdrowi na umyśle, aby ich można było powiesić, pozostałych przekazano do różnych zakładów psychiatrycznych. Wszyscy wyparli się udziału w morderstwie podczas obrzędów i twierdzili, że ludzie ci zostali zabici przez Bóstwa o Czarnych Skrzydłach, które przybyły do nich ze swej siedziby wśród nawiedzonych lasów. Jednak żadnego sensownego zeznania nie udało się wydobyć od tajemniczych sprzymierzeńców. Jedynie od bardzo wiekowego Metysa nazwiskiem Castro policja zdołała nieco wyciągnąć, on zaś utrzymywał, że zawiązał do różnych dziwnych portów i tam rozmawiał z niesmiertelnymi wodzami kultu, żyjącymi wśród gór w Chinach.

Stary Castro pamiętał fragmenty strasznych legend, które podważały teorię teozofów i dowodziły, że zarówno świat, jak i człowiek istnieją od niedawna i są rzeczywiście zjawiskiem przemijającym. Były eony, podczas których inne rzeczy panowały na ziemi i miały swoje wielkie miasta. Pozostałości tych Rzeczy - jak oświecili go niesmiertelni Chinczycy - można jeszcze teraz spotkać w postaci gigantycznych skal na Pacyfiku. Zmarły one przed wieloma wiekami, nim jeszcze nastał człowiek, są jednak sposoby, za pomocą których można je przywrócić do życia, kiedy gwiazdy osiągną właściwe położenie w cyklu wieczności. Przybyły z gwiazd i sprowadziły ze sobą swoje wizerunki.

Te Wielkie Stare Bóstwa, wyjaśniał dalej Castro, nie miały ciała ani krwi. Posiadały kształt - czyż nie świadczył o tym ten posazek? - ale nie były zbudowane z materii. Kiedy gwiazdy ustawia się we właściwej pozycji, Bóstwa będą mogły wedrować poprzez niebo ze świata do świata; zaś póki gwiazdy nie mają odpowiedniej konfiguracji, Bóstwa nie mogą żyć. Ale chociaż

teraz nie żyją, to naprawdę nie umierają nigdy. Spoczywają w kamiennych domach w swoim wielkim mieście R'lyeh, zabezpieczone czarami potężnego Cthulhu do czasu chwalebego zmartwychwstania, kiedy to gwiazdy i ziemia będą znowu gotowe na ich przyjęcie. Wtedy jednak jakaś siła z zewnątrz musi przyczynić się do ich uwolnienia. Czary, dzięki którym istnieją, jednocześnie powstrzymują je od poruszania się, więc mogą tylko leżeć rozbudzone w ciemności i rozmyślać całe miliony upływających lat. Wiedza o wszystkim, co się dzieje we wszechświecie, bowiem porozumiewają się za pomocą przekazywanych myśli. Nawet teraz rozmawiają w swoich grobowcach. Kiedy po nieprzeliczonych wiekach chaosu nastali pierwsi ludzie, Wielkie Stare Bóstwa przemówiły do najwrażliwszych spośród nich kształtując ich sny, bo tylko ta droga ich język mógł dosięgnąć cielesnych ssaków.

- Wtedy to właśnie - wyjął szeptem Castro - pierwsi ludzie stworzyli kult małych bożków, które pokazały im Wielkie Stare Bóstwa; bożki zostały sprowadzone na ziemię w tajemniczych wiekach wprost z mrocznych gwiazd. Ten kult nie zaniknie, dopóki gwiazdy nie zajmą właściwego miejsca, a tajemni kapłani nie wyzwolą wielkiego Cthulhu z grobu, aby przywrócił do życia swych podwładnych i objął panowanie na ziemi. Czas ten łatwo będzie rozpoznać, ponieważ ludzie staną się podobni do Wielkich Starych Bóstw; wolni i swobodni, poza zasięgiem dobra i zła, odrzuca wszelkie prawa i zasady moralne, będą krzyczeć, zabijać i plwać się w radości. Wyzwolone Stare Bóstwa nauczą ludzi, jak krzyczeć, jak zabijać, jak radować się i bawić, a cała ziemia rozgorzeje calopalną ofiarą ekstazy i wolności. Tymczasem jednak ich kult, wyrażany w odpowiednich obrzędach, musi ożywiać pamięć tych dawnych zwyczajów i duchów, zapowiadając ich powrót na ziemię.

Dawniej ludzie porozumiewali się w snach ze Starymi Bóstwami spoczywającymi w grobach, ale potem coś się stało. Wielkie kamienne miasto R'lyeh, wraz z monolitami i grobowcami, skryło się pod falami; głębokie wody, pełne pierwotnej tajemnicy, przez które nawet myśl nie może przeniknąć, odcięły wszelki z nimi kontakt. Jednakże pamięć nigdy nie ginie, a wielcy kapłani twierdzą, że miasto znowu się wyłoni, gdy gwiazdy zajmą prawidłową pozycję. Wtedy wynurzą się z glebi ziemi czarne duchy, pokryte pleśnią i widmowe, pełne tajemnych wieści nagromadzonych w otchłaniach pod niedostępnym dnem oceanów. O nich jednak stary Castro nie miał odwagi mówić. Natychmiast przerwał swą opowieść i żadne perswazyje ani też prośby nie zdołały go nakłonić do kontynuowania tego tematu. O rozmiarach Starych Bóstw nawet słowem nie chciał wspomnieć. Wyjął tylko, że główny ośrodek kultu znajduje się, jak przypuszczał, wśród nieprzebranych arabskich pustyni, gdzie Irem, miasto Pillarów, spoczywa ukryte i nietknięte. Kult ten nie ma żadnego związku z europejskim kultem czarownic i jest znany wyłącznie członkom tego ugrupowania. Żadna książka na świecie nawet o nim nie wspomina, choć nieśmiertelni Chinczycy twierdzą, że są dwie wzmianki w "Necronomicon" Szalonego Araba, Abdula Alhazreda, które w tajemniczeni mogli by odczytać dowolnie, zwłaszcza ten często dyskutowany kuplet:

*" Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami,  
Nawet śmierć może umrzeć wraz z dziwnymi eonami. "*

Legrasse, mocno poruszony i z lekką oszłomiony, na próżno wypytywał o historyczną przynależność tego kultu. Castro, oczywiście, wyznał prawdę, kiedy powiedział, że jest to głęboka tajemnica. Uczni z Tulane University nie potrafili rzucić żadnego światła ani na kult, ani na ten posazek, wobec tego detektyw przybył do najwyższych autorytetów w kraju i usłyszał niewiele więcej poza grenlandzką opowieścią profesora Webba.

Gorączkowe zainteresowanie, jakie wzbudziła wśród zebranych opowieść Legrasse'a, a także przywieziona przez niego statuetka, znalazło odbicie w korespondencji poszczególnych

uczestników zebrania; natomiast w oficjalnej publikacji stowarzyszenia niewiele wzmiankowano na ten temat. Ostrożność zawsze cechuje tych, którym zdarza się zetknąć z szarlatanami i czarami. Legrasse wypożyczył na pewien czas statuetkę profesorowi Webbowi, który jednak wkrótce zmarł. Została zwrócona Legrasse'owi i wciąż znajduje się w jego posiadaniu, a niedawno miałem nawet możliwość ją sobie obejrzeć. Jest rzeczywiście potworna i bez wątpienia podobna do rzeźby młodego Wilcoxa.

Nie dziwi się, że opowieść rzeźbiarza tak bardzo wzbudziła mego wuja, bo przecież znał już relacje Legrasse'a. Można sobie wyobrazić, jakie myśli wzbudziło w nim to, co usłyszał od wrażliwego młodego człowieka, który ujrzał we śnie nie tylko samą figurkę i dokładny zapis hieroglificzny, jak na statuetce znalezionej na bagnach i na grenlandzkiej płaskorzeźbie, ale jeszcze na dodatek usłyszał co najmniej trzy słowa formuł wymówionej przez eskimoskich wyznawców czarnej magii, a także wyznawców kultu w Luizjanie. Wydaje się więc najzupełniej oczywiste, że profesor Angell z miejsca zainteresował się sprawą i chciał ją poznać jak najdokładniej; ja jednak w głębi ducha podejrzewałem, że młody Wilcox gdzieś usłyszał kiedyś o tym kulcie i po prostu zmyślał opowieści o swoich snach, aby kosztem mego wuja podtrzymać te tajemnice. Zgromadzone wycinki z gazet i opowieści o różnych snach były dość przekonującym świadectwem; jednakże mój racjonalny umysł i niezwykłość całej tej sprawy skłoniły mnie do wyciągnięcia wniosków, które wydawały mi się najrozsadniejsze. Tak więc, po dokładnym zapoznaniu się z manuskryptem i zestawieniu go z teozoficznymi i antropologicznymi notatkami, a także z opowieścią Legrasse'a, odbyłem podróż do Providence, żeby zobaczyć się z rzeźbiarzem i powiedzieć mu kilka słów prawdy co do tego, że tak bez ogródek okpił uczzonego i starego człowieka.

Wilcox nadal mieszkał sam w budynku Fleur-de-Lys na Thomas Street, będącym szkaradną wiktoriańską imitacją siedemnastowiecznej bretońskiej architektury, który ozdobionymi stiukami frontem puszył się wśród pięknych domów w stylu kolonialnym położonych na wzgórzu i zazywał cienia pod najwspanialszą w Ameryce georgijską strzelniczą wieżą. Zastąpiłem go przy pracy i z miejsca zorientowałem się po rozrzuconych we wszystkich pokojach rzeźbach, że mam do czynienia z autentycznym i wybitnym talentem. Jestem przekonany, że kiedyś zyska rozgłos jako jeden z największych dekadentów: teraz wyraża się w glinie, ale kiedyś w przyszłości ujawni w marmurze wszystkie te mary nocne i twory fantazji, które Arthur Machen pokazuje w swojej prozie, a Clark Ashton Smith w poezji i malarstwie.

Ciemny, drobny, niedbale ubrany, ledwie obrócił się słysząc pukanie i spytał, czego sobie życzę, nawet nie wstając. Dowiedziawszy się kim jestem, okazał pewne zaciekawienie; mój wuj wzbudził w nim zainteresowanie wypytyując tak dociekliwie o jego sny, ale nigdy nie wyjawiał mi przyczyny swojego zainteresowania. Ja również nie przyczyniłem się do wzbogacenia jego wiedzy w tym zakresie i starałem się, zachowując pozory, jak najwięcej z niego wyciągnąć.

Szybko zorientowałem się, że opowieści o jego snach były naprawdę szczerze i nie budzące wątpliwości. To właśnie one i wciąż jeszcze żywe ich wspomnienia wywarły wpływ na całą jego dalszą twórczość; pokazał mi statuetkę będącą wytworem schorzałej wyobraźni, której rysy, świadczące o sile ciemnych mocy, głęboko mnie wstrząsnęły. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek przedtem widział taki przedmiot, znany mu był tylko ze snu, a jego rece kształtowały go bezwiednie. Był to bez wątpienia potwór z jego majaczeń sennych. Nie ulegało wątpliwości, że nie miał najmniejszego pojęcia o kulcie, otoczonym tak ściśle tajemnicą, może jedynie wuj uchylił rąbka tajemnicy surowo strzeżonej w jego katechizmie; znowu więc zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób zostały mu przekazane tak niesamowite wrażenia.

Mówił o swoich snach dziwnie poetyckim stylem, że straszliwa wyrazistością zobaczyłem

ociekające woda miasto Cyklopów zbudowane z oslizgłego zielonego kamienia - którego wymiary geometryczne, jak Wilcox dość osobliwie zaznaczył, były nieprawidłowe - i słyszałem w przerazającym oczekiwaniu nieustanne, półprzypadkowe wołanie z podziemi: "*Cthulhu fhtagn, Cthulhu fhtagn*".

Słowa te stanowiły część strasznego rytuału, który mówił o sennym czuwaniu zmarłego Cthulhu w kamiennej krypcie w mieście R'lyeh, co mnie wstrząsnęło do głębi mimo tak racjonalnego stosunku do tej sprawy. Byłem przekonany, że musiał przypadkiem usłyszeć kiedyś o tym kulcie i wkrótce zapomniał o tym, pogrążony w powodzi równie niesamowitej lektury i własnej wyobraźni. Potem, przy jego wzmoczonej wrażliwości, znalazło to podświadomy odzew w snach, w plaskorzeźbie i w tej potwornej statuetce, która trzymałem teraz w rekach; jeśli było to pewnego rodzaju oszukanstwo w stosunku do mego wuja, to najzupełniej niewinne. Ten młody człowiek, chwilami trochę afektowany, chwilami wskazujący brak dobrych manier, nie budził mojej sympatii; ale nie mogłem mu odmówić talentu, ani uczciwości. Rozstałem się z nim przyjaźnie, życząc mu sukcesu, na jaki zasługiwał jego talent.

Sprawa tego kultu wciąż mnie fascynowała i chwilami snuły się przede mną wizje mojej własnej sławy, związanej z badaniami źródeł jego pochodzenia i wszelkich z nim związków. Wybrałem się więc do Nowego Orleanu, rozmawiałem z Legrassem i innymi uczestnikami dawnej oblawy na czarnoksiężników, zobaczyłem tę straszną statuettę, a nawet miałem możliwość zadać kilka pytań schwytanym jenciom przebywającym jeszcze w więzieniu. Stary Castro, niestety, zmarł przed kilkoma laty. Wszystko, co usłyszałem z pierwszej ręki, choć nie było w tym nic więcej ponad to, co mój wuj tak szczegółowo potwierdził w swoich zapisach, na nowo obudziło moje zainteresowanie; czułem, że odkryłem ślad prawdziwej, tajemnej i bardzo starej religii, dzięki czemu mogę stać się sławnym antropologiem. Stosunek mój miał w dalszym ciągu podłoże materialistyczne i pragnąłem, aby nadal taki pozostał, a zbieżność sprawozdań ze snów i wycinków zebranych przez doktora Angella przyjmowałem z niewytłumaczalną przekorą.

Jak już wspominałem, zacząłem podejrzewać, a teraz mogę już powiedzieć, że wiem na pewno, iż mój wuj nie zmarł śmiercią naturalną. Przewrócił się na wąskiej dróżce prowadzącej przez wzgórze ze starej przystani wkrótce po przypadkowym zderzeniu się z jakimś murzynskim marynarzem. Nie zapomniałem o oblawie w Luizjanie na marynarzy, którzy byli wyznawcami tego kultu, i nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział o ich skrytych metodach i zatrutych igłach, równie bezlitosnych i znanych od najdawniejszych czasów, jak wszystkie tajemnicze obrzędy i wierzenia. To prawda, że Legrasse'a i jego ludzi pozostawiono w spokoju, ale w Norwegii pewien marynarz, który dużo wiedział, nie żyje. Czyżby dogłębne badania prowadzone przez mego wuja, po zapoznaniu się z relacjami rzeźbiarza, dotarły do złowieszczego uszu? Wydaje mi się, że profesor Angell zmarł, ponieważ wiedział za dużo albo mógł się dowiedzieć za dużo. Czy mnie to również czeka, zobaczymy, bo niewątpliwie ja także niemal się dowiedziałem.

### **III. Szalenstwo na morzu**

Jezeli niebo chciałoby mnie kiedykolwiek obdarzyć swymi łaskami, to pragnąłbym, aby rezultaty mego przypadkowego zetknięcia się z leżącym przygodnie skrawkiem papieru zostały na zawsze zatarte. Na pewno nie zwróciłbym nań uwagi w moim programie dnia, gdyż był to stary numer australijskiego dziennika "Sydney Bulletin", z 18 kwietnia 1925 r. Nawet biuro wycinków, które w czasie wydania tego dziennika pieczołowicie zbierało materiały do badań naukowych mego wuja, nie zainteresowało się tym numerem.

Juz prawie zaniechałem dociekliwych poszukiwań wszystkiego, co wiązało się z "Kultem Cthulhu", jak nazwał go profesor Angell, i wybrałem się do mego uczonego przyjaciela do

Paterson w New Jersey; był kustoszem miejskiego muzeum i znanym mineralogiem. Oglądając pewnego dnia przechowywane okazy, poukładane niedbale na półkach w magazynie na tyłach muzeum, zwróciłem uwagę na dość dziwne zdjęcie w jednej ze starych gazet, na której rozłożone były kamienie. Był to "Sydney Bulletin", o którym wspomniałem, jako że mój przyjaciel miał szerokie koneksje we wszystkich stronach świata; na zdjęciu widniała niezbyt wyraźna rycina kosztownej kamiennej statuetki, niemal identycznej z tą, jaką znalazł na bagnach Legrasse.

Czym prędzej wyciągnąłem gazetę spod drogiego przedmiotu i starannie przeczytałem opis; rozczarowałem się jednak, bo nie był zbyt obszerny. Niemniej zawarte w nim wiadomości miały wielkie znaczenie dla coraz już rzadziej prowadzonych przeze mnie poszukiwań; ostrożnie wydarłem ten fragment zamierzając natychmiast przystąpić do akcji.

A oto, co zawierał:

Tajemniczy, bezpanski statek znaleziony na morzu, "Viligant", przybywa z pozbawionym załogi nowozelandzkim jachtem na holu. Na pokładzie znajduje się jeden człowiek żywy i jeden trup. Opowieść o desperackiej walce i śmierci na morzu. Ocalony żeglarz odmawia jakiegokolwiek relacji z niezwyklej przygody. Znaleziono przy nim dziwnego bozka. Badania w toku.

Należący do Spółki Morrison frachtowiec "Viligant", który wypłynął z Valparaiso, przybył dziś rano do portu w Darling holując pokonany i uszkodzony, ale dobrze uzbrojony parowy jacht "Alert" z Dunedin, N.Z., który został dostrzeżony 12 kwietnia na południowej szerokości geograficznej 34°21', a zachodniej długości geograficznej 152°17', z jednym człowiekiem żywym i drugim zmarłym na pokładzie.

"Viligant" wypłynął z Valparaiso 25 marca, a 2 kwietnia zboczył z wytyczonego kursu z powodu niezwykle silnego sztormu i olbrzymich fal. 12 kwietnia dostrzeżono bezpanski statek; choć wydawał się całkiem opustoszały, znaleziono jednak na pokładzie człowieka, ale był prawie nieprzytomny, zaś drugi nie żył już co najmniej od tygodnia.

Żyjący człowiek sciskał w reku kamiennego bozka o przerazającym wyglądzie, wysokości około jednej stopy, ale uczeni uniwersytetu w Sydney, Royal Society, a także muzeum na College Street nie znają jego pochodzenia, natomiast pozostały przy życiu człowiek twierdzi, że znalazł go w kabinie jachtu, w małej kapliczce rzeźbionej w dość pospolite wzory.

Po odzyskaniu przytomności opowiedział niezwykle i przedziwną historię piractwa i rzezi. Jest to Gustav Johansen, Norweg, człowiek inteligentny, drugi oficer na dwumasztowym szkunerze "Emma" z Auckland, który wypłynął 20 lutego do Callao wraz z załogą składającą się z jedenastu osób.

"Emma" zboczyła z kursu daleko na południe z powodu strasznego sztormu, jaki zerwał się 1 marca, i 22 marca na południowej szerokości geograficznej 49°51', a zachodniej długości geograficznej 128°34' napotkała "Alert", pod dowództwem dziwnie i złowrogo wyglądającej załogi z Kanakas, składającej się głównie z mieszanców krwi. Kapitan Collins otrzymał stanowczy rozkaz odwrotu, ale odmówił; bez żadnego ostrzeżenia posypały się na szkuner strzały z mosiężnych dział armatnich, stanowiących część wyposażenia jachtu.

Załoga "Emmy", jak relacjonuje pozostały przy życiu oficer, podjęła walkę i choć szkuner zaczął tonąć z powodu uszkodzenia dna statku, udało im się dopłynąć do jachtu wroga i dostać na pokład. Zmuszeni byli zabić wszystkich, mimo ich pewnej przewagi liczebnej, ponieważ walczyli w sposób bezwzględny i wyjątkowo brutalny, ale też i dosyć niezdarny.

Trzy osoby spośród załogi, łącznie z kapitanem Collinsem i pierwszym oficerem Greenem, poległy w walce; pozostałe osiem osób pod dowództwem drugiego oficera Johansena uruchomiło zdobyty jacht i wzięło kurs w stronę skąd przyplynał, aby przekonać się, z jakiej to przyczyny domagano się od nich odwrotu.

Okazuje się, że następnego dnia ujrzeli małą wysepkę, przy której się zatrzymali, choć o jej istnieniu nie wspominają żadne źródła; tam właśnie na brzegu zmarło sześciu członków załogi, ale Johansen jest dziwnie powściągliwy w tej sprawie, napomyka za ledwie, że wpadli do jakiegoś rozpadliny skalnej.

Potem już tylko Johansen i jego współtowarzysz uruchomili jacht, usiłując dalej zeglować, lecz 2 kwietnia zmógł ich silny sztorm.

Od tej chwili aż do momentu ocalenia 12 kwietnia Johansen pamięta niewiele, nawet nie przypomina sobie kiedy zmarł jego towarzysz, William Briden. Nie było żadnej konkretnej przyczyny śmierci Bridena - najprawdopodobniej nastąpiła wskutek silnych przecięć i wyczerpania.

Depesza z Dunedin donosi, że "Alert" był znany jako statek handlowy i miał złą reputację na wodach przybrzeżnych. Należał do grupy kolorowych marynarzy, których częste spotkania i nocne eskapady w lasy nie budziły większej ciekawości; wypłynął w wielkim pośpiechu tuż po sztormie i trzęsieniu ziemi, jakie miało miejsce 1 marca.

Nasz korespondent w Auckland przekazuje bardzo pochlebne informacje o "Emmie" i jej załodze, a samego Johansena określa jako mądrego i wartościowego człowieka.

Admiralicja wszczyna jutro śledztwo w tej sprawie i ma nadzieję, że skłoni Johansena do obszerniejszych relacji.

I to już wszystko, jeszcze tylko zdjęcie diabolicznego posazku. Ale jakież myśli klebiły się teraz w mojej głowie! Oto nowy skarb wiadomości o kulcie Cthulhu i świadectwo, że swoim zasięgiem obejmuje zarówno morze, jak i ląd. Z jakiego powodu załoga "Alertu" wydała "Emmie" rozkaz odwrotu kazać po tych wodach ze swoim koszmarnym bożkiem? Cóż to za nieznaną wyspę, na której sześciu członków załogi "Emmy" zginęło, a Johansen tak niechętnie o tym mówi? Jakiego są wyniki śledztwa wiceadmiralicji i co jest wiadome o tym szkodliwym kulcie w Dunedin? A co najbardziej zdumiewające, to niezwykle i wprost zaskakująca zbieżność dat, która nadawała złowieszcze, a teraz już niezaprzeczalne znaczenie, różnym wydarzeniom, tak skrętnie spisywanym przez mego wujka.

1 marca - u nas 18 lutego według czasu międzynarodowego - nastąpiło trzęsienie ziemi i zaczął się sztorm. "Alert", wraz ze swą hałasliwą załogą, wypłynął w wielkim pośpiechu z Dunedin, jakby wezwany władczy rozkazem, zaś na drugiej półkuli poeci i artyści zaczęli snuć o dziwnym, ociekającym wodą mieście Cyklopów, natomiast młody rzeźbiarz stworzył podczas snu przerazający wizerunek Cthulhu. 23 marca załoga "Emmy" wylądowała na nieznaną wyspę, na której zginęło sześciu jej członków; w tym czasie sny co wrażliwszych ludzi charakteryzowały się wzmożoną wyobraznią i pogrążyły się w mroku pełnym leku przed strasznym poscigiem olbrzymiego potwora, natomiast architekt popadł w obłęd, a rzeźbiarz nie stąd, nie zowad popadł w delirium! A jak to było ze sztormem, który się zerwał 2 kwietnia? Kiedy ustąpiły sny o mieście Cyklopów, zaś Wilcox bez żadnego śladu opuściła wyspę gorączka? Co to wszystko miało znaczenie? A na dodatek jeszcze te aluzje starego Castro do zatopionych, a zrodzonych wśród gwiazd Starych Bóstw i ich ponownym przyjściu na świat; o ich niezniszczalnym kulcie i władzy nad snami. Czyżbym dreptał na krawędzi kosmicznego horroru, nie do zniesienia dla człowieka? Jeśli tak jest, musi to być horror w zasięgu pojęć wyłącznie umysłu, bo przecież 2 kwietnia położył kres temu, co zaczynało stanowić jakiegoś potworne zagrożenie dla duszy ludzkiej.

Wieczorem, po całym dniu wypełnionym różnymi depeszami i ustaleniami, pożegnałem mego przyjaciela i wyruszyłem pociągiem do San Francisco. Nim upłynął miesiąc byłem już w Dunedin; tam jednak okazało się, że niewiele wiedza o wyznawcach tego dziwnego kultu, snujących się po starych nadmorskich tawernach. Szumowiny portowe były zbyt powszechnym

zjawiskiem, aby miały przyciągać czyjkolwiek uwagę; jednakże tu i ówdzie wspomniano pewną wyprawę mieszanców w głąb lasu i widać było czerwony ogień w odległych górach.

W Auckland dowiedziałem się, że jasnowłosy Johansen powrócił siwy po przeprowadzonym w Sydney śledztwie, które jednak nic nowego nie wniosło. Sprzedał dom na West Street i przeniósł się z żoną do swojej siedziby w Oslo. Nic więcej nie mówił przyjaciółkom o swoich emocjonujących przeżyciach, powtórzył to samo, co zeznał przedstawicielom admiralicji. Jedyne, co mogli dla mnie zrobić, to podać mi jego adres w Oslo.

Pojechałem z kolei do Sydney i przeprowadziłem rozmowę z marynarzami i członkami wiceadmiralicji, ale nie dowiedziałem się niczego rewelacyjnego. W Circular Quay w Sydney zobaczyłem "Alert", który został sprzedany i pływał jako statek handlowy, ale to też nic mi nie dało. Przykucznięty bożek z głową sepii, tułowiem smoka, skrzydłami pokrytymi łuską i postumentem zapisanym hieroglifami, był przechowywany w muzeum w Hyde Parku; przyglądałem mu się długo i dokładnie - było to niezwykle precyzyjne bóstwo, równie tajemnicze, antyczne i wykonane z dziwnego, niespotykanego na ziemi materiału, jak statuetka Legrasse'a, tylko o mniejszych wymiarach. Dla geologów, jak poinformował mnie kustosz, okazało się to prawdziwą zagadką; twierdzili, że nie ma na świecie skały, z której został wykonany ten bożek. Wtedy to przypomniałem sobie ze zgrozą, co stary Castro powiedział Legrasse'owi o pierwotnych Wielkich Bóstwach: *"Przybyły z gwiazd i sprowadziły ze sobą swoje posagi"*. Poruszony do głębi i z zametem w głowie, jakiego nigdy dotychczas nie doświadczyłem, postanowiłem odwiedzić Johansena w Oslo. Natychmiast wyruszyłem statkiem płynącym do stolicy Norwegii i pewnego dnia w jesiennej porze wysiadłem na starannie utrzymanym wybrzeżu w cieniu Egebergu.

Dowiedziałem się, że Johansen mieszka w Starym Mieście Króla Harolda Haardrada, które przez całe stulecie zachowało nazwę Oslo, podczas gdy największe miasto przyjęło nazwę Christiania. Pojechałem tam taksówką i z bijącym sercem zapukałem do drzwi schludnego starego domu, od frontu pokrytego tynkiem. Otworzyła mi kobieta w czerni, o smutnej twarzy; doznałem wielkiego rozczarowania, kiedy powiedziała mi słabą angielszczyzną, że Gustava Johansena już nie ma na tym świecie.

Wkrótce po powrocie zmarł, ponieważ przeżycia na morzu w 1925 roku, jak wyznała jego żona, złamały go. Nie powiedział jej nic więcej poza tym, co przekazał ogółowi, zostawił jednak manuskrypt - w "sprawach technicznych", jak to określił - w języku angielskim, najwyraźniej po to, żeby ustrzec ją przed ewentualnym przeczytaniem. Szedł wąską uliczką w pobliżu doków Gothenburga, gdy z okienka na poddaszu spadła mu na głowę sterta papierów. Dwaj hinduscy marynarze podbiegli natychmiast i pomogli mu wstać, ale nim przybył ambulans, już nie żył. Lekarze nie stwierdzili żadnej konkretnej przyczyny śmierci, poza ogólnym wyczerpaniem i osłabieniem serca.

Czułem, że do szpiku kości przenika mnie groza i że nie opuści mnie, dopóki nie spoczne na zawsze - "przypadkowo" lub w jakiś inny sposób. Przekonawszy wdowę, że moje związki z jej mężem dotyczą właśnie owych "technicznych spraw", które upowazniają mnie do przeczytania tego manuskryptu, wypożyczyłem dokument i zabrałem się do czytania na statku płynącym do Londynu.

Był to prosty, chaotyczny zapis - post facto pamiętnik naiwnego marynarza, w którym starał się przypomnieć każdy dzień całej tej koszmarnej podróży. Nie potrafię dosłownie powtórzyć treści, gdyż jest ogromnie zawiła i rozwlekła, ale przekazanie samego jej sensu wystarczy, aby zrozumieć, dlaczego chlupot fal o burcie był dla mnie nie do zniesienia i musiałem sobie zatkać uszy watą.



Johansen, dzięki Bogu, nie znalazł całej prawdy, mimo że widział miasto i tę Rzecz, ale już nie zaznał spokojnego snu mając świadomość tych wszystkich okropności które czają się nieustannie poza życiem w czasie i przestrzeni, i wszystkich tych bezbożnych bluźnierstw ze starszych gwiazd, które drzemia pod wodami mórz, a które są znane i czczone przez wyznawców koszmarnego kultu, zawsze gotowych do ich wyzwolenia i wydostania się na świat, gdy tylko trzesienie ziemi wydobędzie ponownie to wielkie kamienne miasto ku słońcu i powietrzu.

Podróż Johansena rozpoczęła się tak, jak zeznał w wiceadmirałicji. "Emma" z ładunkiem wypłynęła z Auckland 20 lutego i znalazła się w zasięgu sztormu o straszliwej sile, spowodowanym przez trzesienie ziemi, które musiało wyzwolic z dna morskiego koszmarny nawiedzający w owym czasie sny rozmaitych ludzi. Statek, odzyskawszy równowagę, płynął swoim kursem, gdy 22 marca został zatrzymany przez "Alert"; czytając ten fragment, wyczuwałem żal Johansena, jaki ogarnął go na widok zbombardowanego i tonącego statku. O ciemnoskórych fanatykach kultu na "Alertcie" wspomina Johansen z wyraźnym lekkiem. Przejawiali jakies ohydne cechy, zagłada zdawała się być traktowana przez nich niemal jak obowiązek i Johansen wykazuje szczere zdumienie, że podczas przesłuchania w sądzie jego załozce zarzucano bezwzględność postępowania. Potem, płynąc na zdobytym jachcie pod dowództwem Johansena, wiedzeni ciekawością, ujrzeli wielką kamienną kolumnę wyrastającą z morza, a na 47°09' południowej szerokości geograficznej i na 126°43' zachodniej długości geograficznej natknęli się na błotnisty, mulisty brzeg i na wyniosłe budownictwo Cyklopów, będące namacalnym dowodem najstraszliwszego postrachu ziemi - koszmarnego miasta R'lyeh, zbudowanego w niezmiernych eonach, których nie obejmuje historia, przez ogromne, odrazające poczwały przybyłe z mrocznych gwiazd. W tym miejscu spoczywał wielki Cthulhu oraz jego horda skryta w zielonych, mulistych grobowcach, która przekazywała, po niezliczonych cyklach, swoje myśli; to one właśnie wywołały u wrażliwych ludzi sny pełne leku i wzywały władczy glosem wiernych do wzięcia udziału w pielgrzymce wyzwolenia i odrodzenia. Tego wszystkiego Johansen nie podejrzewał, ale Bóg jeden wie, co wkrótce zobaczył.

Przypuszczam, że tylko jeden szczyt góry, szkaradna twierdza-monolit, w której spoczywał wielki Cthulhu, wylonil się z wody. Kiedy myślę o rozmiarach tego wszystkiego, co może się tam w dole znajdować, mam ochotę przestać istnieć. Johansen i jego ludzie zostali porażeni strachem przez kosmiczny majestat ociekającego wodą Babilonu starszych demonów i z pewnością odgadli bez żadnych oświecających wskazówek, że to nie ma związku z tą ani też żadną inną znaną nam planetą. Lek przed niewiarygodną wielkością tego zielonego kamiennego bloku, przed zdumiewającym podobieństwem ogromnych posągów i płaskorzeźb do przedziwnej statuetki znalezionej w małej kapliczce na "Alertcie", przebijają wyraźnie z każdego słowa manuskryptu przerazonego marynarza.

Nie mając najmniejszego pojęcia o futurozynie Johansen prawie osiągnął tę wiedzę opisując miasto, bo zamiast mówić o jakiejś określonej jego strukturze czy budowli, rozwodzi się tylko nad niesamowitym wrażeniem, jakie robią olbrzymie kolumny i kamienne powierzchnie - zbyt wielkie, aby podlegały prawom czy właściwościom tej ziemi, świetokradcze z powodu ohydnych wizerunków i hieroglifów. Wspomniałem o nich, ponieważ wiąże się to z czymś, o czym napomknął Wilcox opowiadając o swoich straszliwych snach. Powiedział, że geometria tego miejsca widzianego we śnie wykraczała poza granice normy, nie zgadzała się z prawem Euklidesa, a poza tym miejsce to wydzielalo paskudną wonie nieznaną wśród naszych sfer niebieskich i we wszechświecie. A teraz prosty marynarz odnosił te same wrażenia stojąc oko w oko z ową straszną rzeczywistością.

Johansen i jego ludzie podплыli do pochylego, mulistego brzegu monstrualnego akropolu i slizgajac sie zaczeli sie wspinac na tytaniczne wilgotne bloki, które najprawdopodobniej nie byly schodami przeznaczonymi dla zwyklych smiertelników. Slonce na niebie zdawalo sie jakby wypaczone, kiedy sie na nie patrzylo poprzez polaryzujaca miazme dobywajaca sie z tego perwersyjnego, nasiaknietego morzem wnetrza, i jakas niesamowita groza oraz niepewnosc czaily sie chytrze w tych zwariowanych, zwodnych wymiarach rzezbionej skaly, na której za pierwszym spojrzaniem widzialo sie wypuklosc, za drugim wkleslosc.

Wszystkich odkrywców ogarnela jakas dziwna trwoga, jeszcze nim zdolali dostrzec cos bardziej okreslonego niz skala, szlam i wodorosty. Kazdy z nich najchetniej umknalby natychmiast, gdyby nie obawa przed wzgarda pozostalych, i tylko dla pozoru rozgladali sie - na prózno jak sie okazalo - za jakas drobna pamiatka.

Portugalczyk Rodriguez wspial sie az do samego podnoza monolitu i wydal okrzyk na widok tego, co tam zobaczyl. Wszyscy pozostali udali sie wiec za nim i spogladali z wielkim zaciekawieniem na ogromne wyrzezbione wrota wraz ze znana juz plaskorzezba w ksztalcie kalamarnicy-smoka. Przypominaly, jak napisal Johansen, wielkie wrota stodoly; wszyscy byli przekonani, ze sa to drzwi, z powodu rzezbionej belki, progu i framug, choc nie mogli sie zdecydowac, czy leza one plasko jak drzwi zapadowe, czy pochylo jak zewnetrzne drzwi do piwnicy. Wedle słów Wilcoxa, wymiary geometryczne w tym miejscu byly na opak. Trudno byloby stwierdzic, czy morze i ziemia maja tutaj ksztalt horyzontalny, poniewaz pozycja wszystkiego wydawala sie zupełnie niespotykana.

Briden pchnal skale w kilku miejscach, bez zadnego rezultatu. Donovan idac wzdluz brzegu delikatnie przesuwal po niej reka i co pewien czas naciskal ja w różnych miejscach. Potem bezskutecznie usilowal sie wspiac po groteskowym kamiennym ksztalcie - a mozna by to nazwac wspinaczka, gdyby ów ksztalt nie byl w gruncie rzeczy poziomy - i wszyscy nie mogli sie nadziwic, ze na tym swiecie znajduja sie az tak ogromne wrota. Natomiast na samym wierzchu plaszczyna wielkosc akra delikatnie i stopniowo stawala sie wklesla, po czym wszyscy ujrzeli, ze jest dziwnie ruchoma.

Donovan przeslizgnal sie albo tez w jakis sposob przeskoczyl przez te oscieze, czy tez obok nich, i dolaczyl do swoich towarzyszy, którzy obserwowali niezwykle zjawisko jakby cofania sie szkaradnie rzezbionego portalu. W calej tej fantazji pryzmatycznego zniekształcenia przesuwal sie ukosnie, w sposob zupełnie nieprawdopodobny, bedacy zaprzeczeniem wszelkich praw materii i perspektywy.

Otwór zional czernia niemal namacalna. Ten mrok byl jednak zjawiskiem pozytywnym; przeslanial bowiem czesc wewnetrznych scian, które bylyby widoczne, a w tym momencie buchal ze swego uwiezienia trwajacego cale eony lat niczym dym, zaciemniajac nawet slonce, kiedy tak wymykal sie chylkiem na trzepoczacych bloniastych skrzydlach wprost ku pomarszczonemu, wkleslemu niebu. Won dobywajaca sie z nowo otwartych glebi byla wprost nie do zniesienia, a po chwili Hawkins, majacy dobre ucho, poslyszal na samym dole nieprzyjemny, jakby bulgocacy glos. Wszyscy zmienili sie w sluch, stojac w milczeniu, gdy nagle wysunelo sie To, kapiace i oslizle, po omacku precisnelo przez czarne wrota swoje galaretowato-zielone cielsko i wydostalo sie na powietrze miasta zatrutego szalenstwem.

Pismo biednego Johansena, kiedy o tym wspomina, swiadczy o zupełnym wyczerpaniu. Sposród szesciu mezczyzn, którzy nigdy nie dotarli do statku, dwóch zginelo na miejscu w tym przerazajacym momencie, zabil ich strach jaki nimi zawladnal. Nie sposob opisac tej Rzeczy - nie ma słów dla takiej otchlani wrzasku i trwajacego od niepamietnych czasów obledu, dla tak niesamowitych zjawisk bedacych zaprzeczeniem materii, sily i porzadku panujacego w kosmosie.

Góra szła, a raczej człapała. Boże drogi! Czyż można się dziwić, że na drugim końcu świata architekt dostał obledu, a biednego Wilcoxa trawiła gorączka w tym telepatycznym momencie? Ta Rzecz bozków, zielona, lepka ikra gwiazd, obudziła się, aby domagać się swoich praw. Gwiazdy znalazły się we właściwej pozycji i czego nie zdolał dokonać odwieczny kult i jego wytyczony program, tego dokonała gromada nieswiadomych marynarzy. Po niezliczonych latach wielki Cthulhu był znowu wolny i spragniony uciechy.

Nim ktokolwiek zdążył się zorientować, zwiotczale szpony porwały trzech mężczyzn. Byli to Donovan, Guerrero i Angstrom. Parker prziszedł, gdy trzej pozostali mknęli jak szalenci po bezkresnym horyzoncie pokrytym zielonym osadem w kierunku statku i Johansen zaklina się, że pochłoniął go kamienny kat, który znalazł się tam zupełnie niespodziewanie; kat, który był ostry, a sprawiał wrażenie rozwartego. Tak więc Briden i Johansen dotarli do łodzi i desperacko płynęli w stronę "Alertu", podczas gdy ten straszliwy potwór opadł na muliste kamienie i niezdecydowanie zaczął krzyczeć nad brzegiem wody.

Parowiec nie ucierpiał na tyle, by pójść na dno, choć opuściła go cała załoga, trzeba tylko było przez parę minut gorączkowo uwijać się z góry na dół pomiędzy kotłami i maszynami, żeby go uruchomić. Powoli, powoli, wśród wynaturzonych koszmarów tej nieprawdopodobnej sceny "Alert" zaczął burzyć śmiercionośną wodę, tymczasem na kamiennym brzegu-kostnicy, nie należącym do tego świata, tytaniczna Rzecz pochodząca z gwiazd siliła się i mamrotała niczym Polifem rzucając przekleństwa na odpływający statek Odyseusza. Wtem, śmielej niż wspomniany cyklop, Wielki Cthulhu wślizgnął się pod wodę i rozpoczął pościg wzniesając olbrzymie fale o sile dotąd zupełnie niespotykanej. Briden, który się obejrzał, dostał obledu i co chwila wybuchał śmiechem, a pewnej nocy, kiedy Johansen w gorączce wędrował po statku, znalazł go w kabinie już bez życia.

A jednak Johansen się nie poddał. Zdając sobie sprawę, że owa Rzecz z pewnością zawładnie "Alertem", jeśli statek nie rozwinie pełnej szybkości, zdecydował się na czyn desperacki; uruchomił najwyższe obroty silnika, poczym niby błyskawica pobiegł na pokład i odwrócił koło. Morze huczało wirując i pieniąc się, a kiedy statek wznosił się na coraz wyższych falach, dzielny Norweg skierował go wprost na scigającą galarete, która unosiła się nad wzburzoną wodą niczym ster diabelskiego galeonu. Ohydna głowa kalamarnicy z wijącymi się czulkami uniosła się prawie do bukszprytu niezłomnego statku, ale Johansen prul przed siebie niczym nie zrażony.

Rozległ się huk, jakby pękła detka, rozlało się coś w rodzaju grzaskiej, cuchnącej breji jakby z rozlupanego samogłowu, roztoczył się smród tysiąca otwartych grobów, a odgłosu, jaki temu towarzyszył, nie przełalby na papier żaden kronikarz. Przez chwilę cały statek został skazony gryzacia, oslepiająca zielona chmura, poczym już tylko na rufie wrzała jadowita kipiela; dalej zaś - o Boże! - rozproszona masa tej niesamowitej, pochodzącej z niebios ikry łączyła się znowu w galaretowate tworzywo przybierając swą ohydą postać, a tymczasem odległość od niej zwiększała się z każdą sekundą, w miarę jak "Alert" nabierał coraz większej szybkości pod wpływem silnego działania pary.

I to wszystko. Potem Johansen już tylko rozmyślał nad bożkiem umieszczonym w kabinie i wykonywał ledwie parę niezbędnych funkcji, takich jak przygotowanie jedzenia dla siebie i tego śmiejącego się, obłakanego człowieka. Po tym pierwszym, bardzo odważnym zrywie przestał sterować statkiem; tak jakby stracił wtedy duszę. 2 kwietnia zerwał się sztorm, a jego świadomość pograżyła się w mroku. Ma poczucie widmowego wirowania po nieznanym morzach nieskonczoności, oszalamiającej jazdy na ogonie komety poprzez toczący się wszechświat, a także historycznego przerzucania się z piekła na księżyc i z księżycy do piekła, przy wtórze rozchichotanego chóru pokretnych, wesolkowatych starszych bogów i zielonych,

nietoperzoskrzydłych, szyderczych diablów.

Nadeszło wyzwolenie z tego snu - "Viligant", sad wiceadmiralski, ulice Dunedin i długa powrotna droga do domu w okolicy Egebergu. Nie mógł tego opowiedzieć nikomu, uznali by go za szalenca. Postanowił to wszystko opisać jeszcze przed śmiercią, ale żona nie powinna się o tym dowiedzieć. Śmierć będzie dobrodziejstwem, jeśli tylko zdoła zatrzymać te wspomnienia.

Ten właśnie dokument przeczytałem i włożyłem do blaszanego pudełka koło płaskorzeźby i notatek profesora Angella. Tam też włożę mój własny opis, ten sprawdzian mojego stanu psychicznego, w którym zgromadzone jest wszystko to, co mam nadzieję, po raz drugi już nigdy więcej nie będzie gromadzone. Ujrzałem to wszystko, co jest koszmarem tego świata, ale od tej chwili zarówno wiosenne niebo, jak letnie kwiaty będą dla mnie zatrute. Tak jak odszedł wuj i biedny Johansen, tak i ja odejdę. Zbyt wiele wiem, a kult wciąż żyje.

Cthulhu też wciąż żyje, jak sadzę, w kamiennej otchłani, która jest jego schronieniem od czasu, gdy słońce było jeszcze młodą planetą. Jego przekleństwo jest znowu zatopione w morzu, gdyż "Viligant" popłynął na to miejsce po kwietniowym sztormie; jednakże wyznawcy Cthulhu na ziemi wciąż ryczą i harczą, i popełniają mordy wokół bozka ustawionego na monolicie w odludnych miejscach. Cthulhu musiał niespodziewanie utonąć i zapisać się w swojej czarnej otchłani, bo w przeciwnym razie świat rozbrzmiewałby teraz krzykiem przerażenia i obłędu. Kto wie, jaki będzie koniec? To, co się wynurzyło, może zatonąć, a to, co zatonęło, może się wynurzyć. Potwór czeka i drzemie w głębinie, a rozkład rozprzestrzenia się wokół chylących się do upadku miast. Czas nadejdzie - ale nie wolno mi o tym myśleć, nie mogę! Błagam tylko aby wykonawcy mego testamentu zabezpieczyli ten manuskrypt, jeżeli mnie przetrwa, przed zuchwałstwem i dopilnowali, aby ludzkie oko na nim nie spoczęło.